

JÓZEF LASOŃ.

UŁANI BELINY.

(Epizod z walk Legionu).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Z rozkazem.

Cedro popuścił cugle koniowi, niedbale ujął w ręce rzemienie, zamyślając się głęboko. Czako ułańskie ciążyło mu na głowie, lewą ręką ujął je z lekka, poprawiając przytem zaplataną w rzemienie ciężką ułańską szablę. Pot obficie lał się z częściowo wyłysiałego czoła, choć trzydziestki nie przekroczył jeszcze, czarne bokobrody siwieć już gdzieniegdzie poczęły. Bystrem okiem od czasu do czasu bacznie wpatrywał się w okolicę, nad słuchując z dala płynących detonacji strzałów armatnich.

Miedzy Sanem a Wisłą toczył się zacięty bój, armia Dankła ruszyła pod Iwangród. Koń, nie pędzony ostrogą, zwolna, noga za nogą włókł się, parsknąwszy czasami, kiedy koń ułana Chełmeckiego zabiegł mu drogę.

Siwiejąca już postać Chełmeckiego, pomimo pół wieku lat, dzielnie trzymała się na koniu, jak gdyby cały swój żywot na nim przepędziła. Wesoło na świat patrzące oczy znamięnowały humor i odwagę, zmarszczki po starzejącej się już twarzy, jakby rysy Satyra, rysy ostre, wyraziste, na pierwszy rzut oka bojaźnią napętniały, jednakże już po kilku słowach wylaziła z duszy dobra, uczynna, do rany przyłożyć się dająca natura. Twarz, choć miejscami oszpecona ospą, sympatją ujmowała, chwytala za serce.

Wyniosła postać Cedry, regularne rysy twarzy, ciemno piwne oczy, z których bił rozum, spryt i energia, wysokie czoło, szlachecki typ znamięnowały. — Żywa postać ułana Poniatowskiego, oszalałego w brawurze męstwa, do ostatniej kropli krwi niewyciężonego. Na przodzie, na siwym koniu,jechał oficer kawalerii, Sosnowski, młodzik, z wyrastającym dopiero męskim uśmiechem na dzieciennie skrojonych wargach, prowadził garstkę kawalerii, aby ją połączyć z szwadronem Beliny.

Przed nimi wozy z amunicją, z kilkunastoma nowozaciecznymi ułanami zlewały się w samodzielną całość tego drobnego oddziału.

Koń Chełmeckiego szarpnął się nagle, stanął nieruchomo, rżąc, łeb skierował do rowu, gdzie leżał zabity koń z rozprutymi wnętrznościami.

— Psiakrew — mruknął Chełmecki — koń w melancholię wpada.

Ściął ostrogami konia, zrównał się z Cedrą.

— He... he... — zaśmiał się Cedra — musicie koniowi zawiązać oczy. Pełno tu leży zabitych koni. Jak znacznie nad każdym gorzkie żale ciągnąć, na noc nie zdążymy dotrzeć.

Co kilkanaście kroków leżały padłe konie, zgnilizny woń zalatywać poczęła dokoła. Popalone, opustoszałe wsie smętny widok sprawiały — jedno wielkie cmentarzysko.

Zdała lśniła się srebrna wstęga Wisły, a promienie słoneczne kapały się w czystej toni płynącej rzeki, tęczowe kolory były od powierzchni, tysiącem odcieni barw się mieniła.

Stuk siekier donosił o pracy nad budową mostów pod Sandomierzem, które armia Dankła przeprawić się miała na lewy brzeg Wisły, aby pójść pod Iwangród.

Długi, setkami wozów ciągnący się tren armii sprzymierzonych rozłożył się pod Sandomierzem, czekając na ukończenie budowy mostów, aby za armią podążyć.

Chełmecki spojrział na zaszpecone oblicze Cedry, podjechał z koniem obok niego i niespodzianie uderzył go szeroką, niedźwiedzią łapą po plecach.

— Cóż do licha! Wyglądasz obywatelu, jak z krzyża zdjęty. Precz z troskami. Pewnie Amor strzałę wypuścił i ugodził waćpana w samo serce.

— E... nie... — odparł niechętnie Cedro.

— Nie gadaj, wasan: nie, bo tak. Marzy się pewnie jaka złotowłosa postać nadobnej pannicy o niebieskim spojrzeniu, chciałby ją wasan przed ołtarz zaprowadzić, potem na małżeńskie łóżce, Amorową sprawę rozpocząć, a tu nie czas! Wojna, paniedzieju, i to pioruńska wojna. Bebechy trzeba ustawicznie włóczyć, szablą ostro machać, celnie strzelać, a do złotowłosych tylko z konia pocałunek posyłać... He... he... he...

— Nawet mi nie w myśli złotowłosa.

— Gadał wasan zdrów. Nie złotowłosa. To czar-nulka, istny heban o powłóczystym spojrzeniu.

— Ani jedno, ani drugie!

— A cóż do licha. Wszak młodość ma swoje prawa. Ja, gdy był w wasana wieku, tom w lewo i w prawo amora słał. Taż wkońcu obabiłem się, a tu paniedzieju wojna. Baba w szloch, jak ci zacnie beczeć, taż mnie sumienie zabolalo. Dalejże jej perswadować: „Pierwej Ojczyznę miałem, potem ciebie paniedzieju“ i babę przekonałem. Ale na odjeźdźnym mi rzekła: „Pomnij, Janie, że w domu wierna żona czeka cię stęskniona i broń cię Boże, byś miał zbłądzić i zgrzeszyć, bo już bym więcej z tobą nie żyła“. A gdzieżby — zwrócił się znowu do posępnego Cedra — mnie staremu chciało się figli amowowych. Taż szablą ostro machnę, strzelam pewnie, ale co do amora, to już wam młodym zostawiam. Taż to panie wynika z tego, że pocziwemu mojemu babsku o nic więcej się nie rozchodziło, jak tylko o to, bym w panieńskim pozostał stanie, he... he... he... A gdzieżby ja tam...

— Daj tam obywatel spokój — roześmiał się Cedro — w starym piecu dyabli palą i kto wie, czyby obywatel na postoju za spódniczką nie pogonił.

— Paniedzieju, musiałoby być coś nadzwyczajnego!

— Aleby było!

— E... do pioruna, bałbym się.

— Kogo? Przewielebnej magnifiki?

— E... to nie. Ale paniedzieju, na stare lata zaplatać sobie łeb gruchaniem czułem. Nie... absolutnie, nie zdolnym.

Wydobył z bocznej kieszeni, z kutego złota, mi-sternie wykonaną papierośnicę, ozdobioną rytymi postaciami, poczęstował papierosem kolegę.

— Zapalmy, paniedzieju, z dymem niech uleć smutki.

— Sliczna papierośnica — zauważył Cedro.

— Pamiątka paniedzieju. Stara rodzinna pamiątka. Toż panie ojcowizna cała, jaka mi pozostała. Był i dwór ładny i szmat ziemi i lasu olbrzymi kawał, wszystko paniedzieju młodość pożarła, pozostała mi tylko ta papierośnica, dowód wielkości niegdyś, ubóstwa dzisiaj. Paniedzieju, za ognistą krew my Polacy mamy. Trzebaby dla nas wiecznej wojny, aby dać upust tej energii, inaczej młodość pożera nam wsie i dwory, starość daje torbę żebracza, a na pamiątkę herbik stary, sygnet na palcu lub pamiątkową papierośnicę. Pan, zdaje się, uratuje choćby odrobinę z majątku, jeśli młodość ojców go nie pożarła, bo wojna jest. Krew wyszumi się na wojnie, i dworu kawał zostanie i sygnet na palcu.

— Musiała być młodość obywatela bardzo ognistą, jeśli dziś choć smutne, ale prawdziwe rozmyślenia przychodzą.

— O była, paniedzieju. W Monte Carlo rezydencyjka była, kobiet moc, dwór w żydowskich łapach, wszystko przeszło, sygnet i papierośnica została. I paniedzieju nie bić to nas Polaków w skórę. Biłbym panie każdego, i pana, żebyśmy wiedzieli, co to jest ojcowizna.

— Tak... tak... ale trzeba to było z trzydziści lat temu panu powiedzieć — ironicznie zauważył Cedro — i wtenczas w skórę pana tłuc.

— O paniedzieju! Wtenczas krew była ognista, szablą przejechałbym takiego śmiałka, na dziesięć kroków na pistolety wyzwał.

— Toż i ja powinienem z panem zrobić — zaśmiał się Cedro.

— E... nie paniedzieju. Ja życziwą, doświadczoną radę chcę tylko podać. Dziś człek dopiero czuje, co powinien być w młodych latach zrobić, jak powinien o każdą pięć ojcowizny walczyć. Zostało mi się wprowadzić kawał ziemi, ale przysięgam, że jak wojna przejdzie, a Matka Boska Częstochowska pozwoli mi wojnę przeżyć, do końca żywota mego na ojcowiznie pracować będę, aby każdy skrawek ziemi z chciwych łap wydobyć, aby szkoły we wsiach założyć, podnieść na duchu i ciele naród nasz, bo inaczej biada z nami. Tak mi dopomóż, Panie Boże Święty i Ty Matko Boska Częstochowska! Amen!

Zasapał się w zapale, sięgnął po manierkę, po-ciągnął spory łyk wina, a podając ją Cedrze, rzekł:

— Na pomyślność naszej sprawy paniedobrodzieju, abyśmy przysięgi dotrzymali. Na braterstwo i jedność!

Niechętnie wprowadził pociągnął Cedro podaną manierkę, bo stary szlachciura początkowo zraził go swoją szorstką otwartością, jednakże ostatnie słowa rozprószyły nieufność, wytwarzającą się w duszy.

— Jak widzę — zauważył Chełmecki — gadaniem mojem rozprószyłem częściowo smutek. Gadał wasan co dolega, bo na smutek jedyne lekarstwo: spowiedź przed przyjacielem.

— Otóż po kilkudniowym urlopie, który prze-pędziłem w Krakowie, miałem pojechać do szwadronu Beliny. Jednakże nigdzie dowiedzieć się nie mogę, gdzie Belina obraca się z szwadronem. Chciałem przyłączyć się do oddziału kapitana Satyra, ten jednakże nie chciał mnie przyjąć. Błądzą więc już kilka dni, chcąc się coś dowiedzieć, dopiero teraz Sosnowski na ślepo zdąży w kierunku Iwangrodu, może tam znajdziemy Belinę. Martwi mię to bardzo, gdyż chciałbym na czas stanąć do szwadronu, nie tracić czasu na próżno, choć i tak bardzo dużo się spóźniłem. Wątpię, czy dostanę się z powrotem do Beliny, a nie chciałbym służyć w innym oddziale. Przeszło się początkową kampanię, żyło się z kolegami broni, to przecież smutno odłączać się teraz od nich.

— Aha... — wtrącił pospiesznie Chełmecki — to obywatel paniedzieju od Beliny. Tak i ja tam chciałem się dostać. Możeby, paniedzieju, dało się co zrobić?

— Jak tylko dotrzemy, to się da.

— Słowo, paniedzieju.

— Szlacheckie słowo.

Splotły się silne dłonie w serdecznym uścisku, przyjaźń zapanowała szczerą.

— Bo ja, paniedzieju, koniecznie chciałbym służyć u Beliny. To to zaszczyt być w oddziale Beliny.

— To prawda.

— A, panie drogi, na pierwszej lepszej kwaterze urzniemy się jak bele, tylko może asan opowie mi coś o Belinie. Bardzo ciekawy, jak wygląda.

Szarpnął nerwowo czerwonym rabatem, rozpiął kożuszek ułański, podbity czerwonym suknem, z za koszuli wydołała się wielka skórzana torba, którą pospiesznie za pazuchę wsunął.

— Cóż tam obywatel ma w tej torbie — Cedro zapytał.

— A to, paniedzieju, troszeczkę monety na wypadek czegoś niespodziewanego. Tylko z tem kłopot mam, bo torba duża, każdemu w oczy wpada, więc muszę kłamać, że to poświęcane medaliki, żeby się jaka chytra i chciwa dusza nie zlakomiła na resztki mojej ojcowizny. Ale panu, panie kolego obywatelu, prawdę świętą mówię, jak na spowiedzi, bo zaufania jesteś godzien asan.

— Toć to sporo tych medalików poświęcanych.

— A jest tam trochę... na czarną godzinę schowanych. No, paniedzieju, powiem prawdę, choć tem chcę się przysłużyć Ojczyźnie za zmarnowaną ojcowiznę, że za resztki mojej fortunki chcę zakupić kilka koni do szwadronu, bo wiem, że o konie ciężko. A teraz, paniedzieju, jak tam wygląda Belina.

— Belina — rozpoczął Cedro — stary mój znajomy ze związku strzeleckiego, już wówczas tak działalnością, jak i wyglądem zwracał powszechną uwagę. Nie można jednak było wówczas sądzić, patrząc na niego, że wyrobi się z niego tak żelazna postać żołnierza polskiego, wspaniałego dowódcy, nieustraszonego w czynach wojownika. Dość wysoka postać, szczupła, w energicznych gestach, o twarzy męskiej, śniadej cerze, z palcami się oczyma. Widać go na koniu w rozpiętym kożuchu, zarzuconym na ramiona, ma się wrażenie, że to jeden z lotnych dragonów Wołodyjowskiego, który błyskawicznie wpada w środek nieprzyjaciół, siekąc na prawo i lewo, toruje sobie drogę i niespodziewanie ginie im z przed oczu. Oprócz wszystkich zalet urodzonego dowódcy ma on w sobie serdeczną miłość dla żołnierzy, za którą w ogień, w piekło gotowi iść za nim. Pozna go obywatel, już miłować go musi za te wszystkie jego przymioty, choć tam u niego żelazna dyscyplina, żołnierska surowość. Koło niego skupili się tacy oficerowie, jak Janusz, Orlicz, Fel-sztyński, Grzmot. którzy, rzekłbym, w niczem nie ustępują wodzowi swemu, idąc jego śladami.

— Krew mi goreje, paniedzieju, gdy to słyszę. I, paniedzieju, za wszelką cenę muszę się tam dostać.

— Czy tylko się tam dostaniemy?

— A czemuż to?

— Sosnowski za mało ma w sobie energii i sprytu, aby nas doprowadzić do Beliny.

— To, paniedzieju, prawda. To dzieciak istny, nie żołnierz. Ja choć stary i świeży rekrut, lepiejbym poprowadził.

— Dlatego ja na własną rękę będę się starał dotrzeć. Gdy tylko dojedziemy do Radomia, a Beliny tam nie będzie, na własną rękę jadę. A pan, panie obywatelu?

— Zgoda! Jedziem, paniedzieju!

Po kilkudniowej tułaczce dociągnął oddziałek Sosnowskiego do Radomia. Radom zajęty był przez wojska niemieckie z jen. Hindenburgiem na czele, który lada chwila miał odmaszerować pod Warszawę, pozostawiając w operacji pod Iwangrodem armię generała Dankła. Tam też walczyła armia Piłsudskiego.